Zeszyt 14. Lwów dnia 20. Maja 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

XXXVI.

(C. d.) Pan Ludwik nie bardzo był zadowolony, gdy mu brat powiedział, że do Warszawy pojedzie. Odradzał mu jakiś czas, mówiąc, że gorąco, że w Warszawie nie ma teraz co robić, bo wszyscy na wieś wyjechali, zwracał jego uwagę na trudy podróży i na kurz nieznośny, lecz wszystko było daremne. P. Stanisław nie mówiąc w jakim celu, wyjechał nazajutrz po balu samym wieczorem, gdyż chciał pierwszą noc przespać u jednego z dalszych sąsiadów, do którego oddawna się wybierał.

Wandzia została ze stryjaszkiem na gospodarstwie.

Przyjechawszy do Warszawy, pan Stanisław odwidził najpierw daleką krewnę, hrabinę K., która przyjęła go bardzo uprzejmie; potem poszedł do adwokata.

Mecenas zrobił wielkie oczy, usłyszawszy jakich wiadomości żądał od niego brat p. Ludwika.

— Ależ panie dobrodzieju — rzekł — ja byłem pewny, że pan dobrodziej wiesz wszystko najlepiej. Wszak o tem wróble świegocą na dachach.

— Być może, że wróble świegocą, lecz ja nic nie wiem, i właśnie by się coś prawdziwego dowiedzieć, przyszedłem do mecenasa.

— W takim razie muszę panu dobrodziejowi powiedzieć, że jest źle, bardzo źle, nie może być gorzej. Od lat kilkunastu prowadzę interesa pana Ludwika Wybickiego, przez cały ten czas radziłem mu jak brat rodzony i przestrzegałem jak dobry przyjaciel, lecz nic nie pomogło. Ja tędy on owędy, ja do Sasa, on do lasa. Gospodarstwo było zawsze najgorsze, o rachunku i oszczędności w Pilawicach nikt nigdy nie słyszał, wszystko stało li nierządem. Wśród takich stosunków prędzej lub później budowa runąć musiała.

— Powiedz mi przynajmniej, panie mecenasie, jak wielkie jest złe?

— Jak największe, panie dobrodzieju, jak największe! Towarzystwu winien brat pana dobrodzieja samych odsetków przeszło dziesięć tysięcy, a żydom bez liku. Wszyscy oni jakiś czas cicho siedzieli, ale teraz oświadczywszy, że dłużej czekać nie będą, żądają przymusowej sprzedaży Pilawic.

— Przecie mój brat — zauważył pan Stanisław — był tu przed kilku miesiącami i zapłacił samemu Towarzystwu blisko pięć tysięcy rubli, między innych zaś wierzycieli także przeszło tysiąc rozdzielił.

Mecenas zaśmiał się na głos cały.

— To kropla w morzu, panie dobrodzieju, jedna kropla! Towarzystwu był już wtedy winien przeszło dwanaście tysięcy, teraz przybyły nowe raty, a co do długów prywatnych, to zdaje mi się, że brat pana dobrodzieja nigdy nie wiedział, ile ich ma właściwie. Nie raz przedkładałem mu ich wykaz, lecz on nie chciał patrzeć mówiąc, że go to irytuje; ilekroć znowu zapytałem jak je popłaci, otrzymywałem zawsze jedną odpowiedź: jakoś to będzie! Przed kilku miesiącami wpadł do mnie uradowany, a wręczając mi sześć tysięcy rubli prosił, bym uporządkował jego interesa. Policzywszy wszystko, odrzekłem, że ta kwota nie pomoże, bo tu potrzeba by najmniej pięć razy tyle. Na to odparł, że później sobie poradzi, teraz zaś koniecznie potrzeba najbardziej pie-

kące długi zaspokoić, inaczej bowiem brat jego, który niespodziewanie do Pilawic przyjechał, bardzo by się zmartwił. Uczyniłem jak mogłem, oddałem coś Towarzystwu, coś innym wierzycielom i burza chwilowo została zażegnana. Dziś atoli zrywa się ona gwałtowniej niż kiedykolwiek, grożąc zupełnem zniszczeniem.

— Jak ją odwrócić, mecenasie, jak odwrócić? — pytał pan Stanisław jakby sam siebie, przechadzając się po gabinecie. Biedny człowiek widział, że stanął nad przepaścią; zaufał bratu i rodzony brat go zgubił. Co się stanie z nim, co z Wandzią?

— Ratunek tylko wtedy będzie możliwy — odrzekł adwokat — jeżeli pan dobrodziej dasz jeszcze kilkadziesiąt tysięcy.

— Ależ mecenasie ja oddałem wszystko! Więcej nie mam.

— W takim razie, jako dobry przyjaciel jedynie to mogę poradzić, byś pan dobrodziej postarał się coprędzej o jaką posadę... Pilawice będą z pewnością sprzedane. Tu nie ma ratunku! Dziś lub jutro wszystko zasekwestrują.

Pan Stanisław wyszedł od adwokata prawie bezprzytomny. Tyle nieszczęść spadło już na niego, że nie przypuszczał, by mu nowe mogły grozić; tymczasem w jego głowę skołataną uderzył cios nowy, którego następstwa miały być nie tyle bolesne, co przykre i poniżające. On wiedział z doświadczenia, że człowiek biedny jest w społeczeństwie niczem i dobrze pamiętał słowa pana Brown, który ongi mówił, że świat nie wierzy nawet w uczciwość biednego. Sam nie bał by się nędzy, boć do niej przywykł za młodu, zresztą człowiek jeden nie potrzebuje wiele, łatwo może zapracować na chleba kawałek, ale co się miało stać z Wandzią? Do kraju wracał w nadziei, że rodzicielski majątek odbierze, tymczasem zabrali mu jeszcze to, co w obczyźnie po długoletniej pracy zaoszczędził. Biedna Wandzia, biedna!

W tej samej chwili, gdy ojciec myślał o córce i biedną ją nazywał, ona była nad wszelki wyraz uszczęśliwiona.

Trzeciego dnia po balu w Zarzeczu, przyjechał do Pilawic pan Juljan Rossowski. Wandzia zobaczyła go pierwsza i tak się ucieszyła, że to zauważył sam stryjaszek, chociaż do ludzi bystrych wcale go nie liczono. Młody człowiek przeciągnął wizytę do wieczora. Mówił wiele o Lwowie i Galicji, którą polubił, i żartując prosił Wandzię, by ojca namawiała do zrobienia wycieczki w tamte strony.

— Jeżeli państwo przyjedziecie — rzekł między innemi — będę waszym ciceronem bezpłatnym, a chociaż Lwów nie wiele ma osobliwości, ręczę że się nie znudzicie. Ruchu tam dosyć, zwłaszcza odkąd zaczęto budować koleje żelazne. Z całego świata zjeżdżają się teraz ludzie do Galicji.

— Wątpię, byśmy z tąd wyjechali kiedy — Wandzia odpowiedziała. — Tatko dosyć się już napodróżował i radby odpocząć, a interesów w Galicji żadnych nie mamy. Prędzej, sądzę, powinienbyś pan tu się sprowadzić, bo o ile mi wiadomo, nawet z Królestwa pochodzisz.

— Mnie nie pozwala znowu moje zajęcie, ale ponieważ rok rocznie bywam w Warszawie i w tych stronach, więc jeżeli państwo pozwolą, prócz Zarzecza będę każdym razem odwidzał także Pilawice.

— Cha! cha! cha! Panie Boże ty słyszysz a nie grzmisz?! — zawołał pan Ludwik. — On prosi o pozwolenie. Jak babcię kocham, to wyborne! Panie Juljanie czyś zwarjował? Przecie znamy się nie od dziś i kocham cię jak syna... Przyjeżdżaj więc ten tego kiedy zechcesz, bo zawsze będziesz nam miłym gościem. My cię bardzo kochamy, jak babcię kocham, bardzo! Nieprawdaż Wandziu?

Zapytanie stryjaszka zbyt było szczere, by Wandzia mogła na nie odpowiedzieć. Spłoniła się lekko i głowę zwiesiła, co widząc młody człowiek szybko sprowadził rozmowę na inny przedmiot, za co mu szczerze była wdzięczną. Kilka razy brał kapelusz i chciał się żegnać, lecz zostawał mając zawsze coś do powiedzenia.

Późno już było, gdy Juljan żegnał się na werandzie. Stojąc, dlugo jeszcze rozmawiał, nakoniec uściskał gospodarza, Wandzię serdecznie w rękę ucałował i odjechał. Dziewica zaniepokojona, rozmarzona, stała przy oknie odprowadzając wzrokiem odjeżdżającego.

— Walny chłopak, jak babcię kocham, walny! — przemówił pan Lndwik. — Wielka szkoda, że nie mieszka w naszej okolicy... Mielibyśmy ten tego przyjemne sąsiedztwo. Nieprawdaż Wandziu?

— Prawda stryjaszku... bardzo przyjemny.

— I podobał ci się, co?

— Tak... nie przeczę...

— O! wiem, że ci się podobał, jak babcię kocham, wiem! Uważałem to już w Zarzeczu... A ty jemu... strach jakeś mu się podobała!

— Ja mu się podobałam? — zapytała Wandzia ze zdziwieniem.

— Nie udawaj Wandziu, nie udawaj! Jak babcię kocham to zabawne... Niby to nie widziałaś, że się tylko w ciebie wpatrywał. A na łące, gdy go Olesia przedstawiała, zgłupiał z kretesem ciebie zobaczywszy! Już to ja ten tego zawsze mówiłem, że kto ciebie zobaczy, musi zgłupieć.

— Nie bardzo to o mnie świadczy pochlebnie— wtrąciła Wandzia.

— Przeciwnie, panienka powinna zawsze męż-

czyznę do tego doprowadzić. Niech się każdy kocha i niech głupieje.

— Alboż miłość takie za sobą skutki pociąga?

— A jakież? Przecie miłość i głupota, to jedno, jak babcię kocham jedno! A on już się kocha, dam szyję ten tego, że się kocha! Bo i po cóż by dziś tu przyjeżdżał? Znaliśmy się, prawda, lecz u mnie nigdy nie bywał, a dziś ni ztąd ni z owąd zjeżdża we fraku i pół dnia siedzi... To nie bez ale, jak babcię kocham, nie bez ale.

— Pojedzie i więcej nie wróci... mieszka tak daleko — szepnęła Wandzia.

— Wróci, wierz mi Wandziu, jak babcię kocham wróci! To nie trzpiot, nie! Zresztą ma wuja bogatego, który dziś lub jutro kłapnie, bo już bardzo stary, więc kto wie czy ten tego nie sprowadzi się tu do nas. Dziś wuj chłopca męczy, trzyma przy sobie i każe mu handlować obrazami czy jakiemś innem lichem, zwyczajnie jak stary dziwak, ale niech jeno oczy zamknie, pan Juljan z pewnością wyniesie się ze Lwowa.

— Jeżeli tu zamieszka — przemówiła znowu Wandzia trochę się wahając — to z pewnością ożeni się z Olesią...

— Z Olesią? Kto ci to powiedział?

— Zdaje mi się, że ona nim bardzo zajęta...

— A choćby i tak... cóż z tego?

— Jest piękna... bogata...

— Furda Wandziu, jak babcię kocham furda! Nie od dziś ja na nich patrzę i wiem ten tego, że ona jemu ani w głowie. Być może, że dziewczę się rozmarzyło, bo komu by się nie podobał? Chłopiec jak bursztyn, jak babcię kocham jak bursztyn! Ale jemu nawet to przez myśl nie przeszło...

Wandzia z przyjemnością tych słów słuchała. Juljan uderzył ją jeszcze wtedy, gdy pierwszy raz ujrzała go w kościele Marjackim; od tego czasu myślała o nim często, co dzień prawie, odkąd go zaś poznała, stał ciągle w jej pamięci piękny, miły i wielki. Tak jest, chociaż jeszcze nie miała sposobności bliżej go poznać, jej serce przeczuwało w nim ideał mężczyzny, obdarzonego wszystkiemi cnotami, półboga, który na ziemię zstąpił. Każda dziewica tak marzy, lecz niejedna się zawodzi... Czyż by i ją miał zawód spotkać?

XXXVII.

Pan Stanisław wrócił w humorze najgorszym: był zamyślony, ponury. Zauważył to pierwszy Michał, który go woził do Warszawy. Jadąc tam, nie raz z nim rozmawiał o różne go rzeczy wypytując — z powrotem ust nie otworzył. Nawet nie wstąpił do żadnego sąsiada. W oberżach stawał na noc i na objad.

Gdy do domu przyjechał, brata, który wybiegł na jego spotkanie, przywitał bardzo zimno, a Wandzię zaledwie przelotnie w czoło pocałował. Biedna dziewczyna odczuwając nowe nieszczęście, wpatrzyła się niespokojnie w twarz ojca, by z niej tajemnicę wyczytać; on jednak poszedł zaraz do swego pokoju, w którym się zamknął. Córka słyszała jego kroki, to spokojne, to przyspieszone, jakby się nad czemś namyślał lub na coś przygotowywał.

Pan Ludwik był na tropie, chociaż prawdy całej jeszcze nie uchwycił. Przypuszczał, że ten i ów bratu coś powiedział, ale o tem, by Stanisław wiedział już dokładnie, jakie jest położenie, ani pomyślał. Bo jakże mógł pomyśleć, skoro on sam nie znał swoich stosunków! Miał długi, lecz ani wiedział ile, ani się zastanawiał, które z nich były piekące. Wprawdzie adwokat mówił mu, że jest źle, ale czy pan Ludwik mógł mu zaufać i jego obawy podzielać? Przecie adwokat mówił to od lat dziesięciu, a mimo jego złych przepowiedni, Pilawice nie poszły na licytację i pan Ludwik żył jak dawniej. Nie taki więc djabeł czarny jak go malują, sentencja zaś szlachecka: jakoś to będzie! nie jest także bez podstawy...

Całe trzy dni bracia prawie z sobą nie rozmawiali. Młodszy unikał starszego, starszy nie miał odwagi przemówić do młodszego. Śniadanie pili osobno, przy objedzie zbywali się półsłówkami, wieczorem pan Stanisław siedział zamyślony w swoim pokoju, a pan Ludwik bądź z Wandzią rozmawiał, bądź jechał do Zarzecza na preferansa.

Nareszcie czwartego dnia zaczęły sprawdzać się przepowiednie mecenasa. Przed południem zjechały naraz aż dwie komisje sądowe, z których pierwsza oglądała pola i zabudowania, druga spisywała bydło, konie, sprzęty gospodarskie i wszystkie w domu ruchomości. Pan Ludwik chodził z twarzą czerwoną, rozgorączkowany, gniewny, a mówiąc z członkami komisji, nie raz się unosił. Pan Stanisław udawał, jakby nie widział, co się w koło niego działo — Wandzia zaś zamknięta w swoim pokoiku gorzko płakała. Ona rozumiała, że na ich dom waliło się nieszczęście.

Po wyjeździe komisji, pan Stanisław przyszedł do brata i tak przemówił:

— Zdaje mi się Ludwiku, że czas już byśmy sobie zdali sprawę z tego, co się dzieje. Ty mię chyba ciągle uważasz za małoletniego, za dziecko, skoro dotąd nie powiedziałeś mi jeszcze całej prawdy. Wstydź się Ludwiku, wstydź! Nie spodziewałem się tego po tobie.

Pan Stanisław mówił spokojnie, chociaż z naciskiem i pewną goryczą.

— W imię Ojca i Syna! — zawołał pan Ludwik, rękę do czoła podnosząc, jakby chciał się przeżegnać. — A tobie Stachu co się stało? Alboż ten tego zataiłem co przed tobą? Czyż nie po-

stępowałem z tobą jak brat rodzony? Stachu! zlituj się, co ci jest?!

Brat uśmiechnął się boleśnie.

— Wszystko mi powiedziałeś? — zapytał. — A czy powiedziałeś, że jesteś zniszczony, że długi przewyższają wartość Pilawic, że dziś jutro wypędzą nas z tej ziemi, która od czterystu lat była w posiadaniu naszej rodziny?

— To nieprawda, jak mi Bóg miły, nieprawda! — krzyknął pan Ludwik.

— A cóż znaczyli ci ludzie, którzy tu cały dzień spisywali i oceniali?

— To głupstwo, jak babcię... słowo honoru głupstwo!

— A więc powiedz co to znaczyć miało?

— Wierz mi Stachu, to głupstwo — odrzekł brat ciszej. — To ten łotr Mendel z Radomia, który jeszcze od naszego ojca zboże kupował, chcąc mi dokuczyć sprowadził komisję, chociaż niedawno dał mi ten tego słowo honoru, że mi poczeka i skarżyć nie będzie. Ale ja łotra nauczę rozumu! Zobaczy ten tego z kim ma doczynienia i poczemu łokieć. A to łotr!

— Ileś mu winien?

— Głupstwo... kilka tysięcy.

— Inni nie skarżyli?

— Jeszcze kilku, same łotry... ale jakoś to będzie! Już ja ich zapłacę.

— A Towarzystwu także zapłacisz?

— Pewnie... czyż to ja myślę kogokolwiek oszukiwać?

Powiedziawszy to, podniósł głowę do góry jakby się czuł obrażonym. Brat nie zwracając na to uwagi, ciągnął dalej spokojnie:

— A gdzie pieniądze na zaspokojenie tych wszystkich należytości?

— Będą, jak cię kocham będą. Gorzej już bywało, a przecie ten tego nic mi nie zrobili. Djabeł nie taki czarny, jak go malują. Jakoś to będzie!

Pan Stanisław potrząsł głową.

— Słusznie miał mecenas mówiąc, że postępujesz jak dziecko.

— Jaki mecenas?

— Ten sam, który od lat kilkunastu twoje interesa prowadzi. Przeczuwając coś złego, pojechałem go odwidzić i niestety dowiedziałem się rzeczy okropnych. Posłuchaj.

Rzekłszy to usiadł, i powoli, słowo po słowie, popierając wszystko notatkami, które przywiózł z Warszawy, opowiedział bratu całe jego położenie, nic w bawełnę nie obwijając. Myślał, że Ludwik się przerazi, że będzie rozpaczał — bynajmniej! Zamiast uledz wobec ogromu nieszczęścia, porwał się na równe nogi, a zacisnąwszy pięście zawołał:

— I to wszystko powiedział ci mój adwokat?

— Tak jest, byłem u niego trzy razy.

— I on śmiał ci to mówić? A łotr, a rozbójnik! Ja mu za to płacę, żeby mnie oczerniał, żeby mego brata przerażał! A łotrze dam ja tobie! Wyzwę, jak Boga kocham, wyzwę i jak psa zastrzelę! A to hajdamak! a to rozbójnik! Choćby mi był nawet wrogiem, powinien by mnie jeszcze szanować! Nie daruję, jak Boga kocham nie daruję! Wyzwę i jak psa zastrzelę!

Pan Stanisław wysłuchał potoku słów gwałtownych; dopiero gdy brat zasapawszy się należycie jednego słowa więcej nie mógł z siebie wydobyć, tak przemówił:

— Otóż to loika! Ten kto nas ostrzega, kto nam radzi najlepiej, jest naszym wrogiem. Zaiste ja tego nie rozumiem... Przecie mecenas ostrzegając cię chciał twego dobra, nie zguby. Gdybyś był dawniej jego rad słuchał, dziś nie bylibyśmy obadwa w takiem nieszczęściu.

— Może i racja — przerwał pan Ludwik.

— Pewnie, że racja... Ludwiku! Ludwiku! — zawołał ręce ku niemu wyciągając — czemużeś mi wszystkiego dawniej nie powiedział?

— Nie wiedziałem, jak Boga kocham nie wiedziałem — odrzekł pan Ludwik. — Ale nie bój się Stachu, nie, jakoś to jeszcze będzie!

— Będzie, pewnie że będzie, ale gorzej. Temi dniami Towarzystwo obłoży Pilawice sekwestrem, a my chyba o kiju wyjdziemy. Tego mój bracie doczekałem się na stare lata!

— Nie mów tak Stachu, nie mów! bo mi serce pęknie! — błagał przez łzy prawie.

— Gdybyś mi choć był zostawił ten mały kapitalik, który z Indyj przywiozłem, byłbym żył jakoś... nędznie, prawda, ale niezawiśle. Tymczasem dziś jestem ogołocony z wszystkiego. Biedna Wandzia!

— Nie mów tak Stachu, nie mów! — ryknął pan Ludwik głośnym płaczem i bratu do nóg upadł. — Ja widzę, żem nie wart żyć, żem łotr! Ja was okradłem, zrabowałem, ale Bóg mi świadkiem, że anim przypuszczał, by tak źle było!... Ale ja się poprawię, ja was nie opuszczę, ja będę na was pracował... Będę drzewo rąbał, wodę nosił, wszystko zrobię! Tylko nie mów tak Stachu, bo mi serce pęknie!

I nachylił się chcąc brata w nogi pocałować. Pan Stanisław ledwie go wstrzymał i sam rozrzewniony, zwiesił mu się na szyję. W tej chwili we drzwiach pokazała się Wandzia. Rozmowa między ojcem a stryjem toczyła się tak głośno, że rada nierada musiała ją słyszeć. Długo walczyła z sobą, w końcu miłość dla ojca i przywiązanie do jego brata odniosło nad nią zwycięstwo. Wbiegła więc do pokoju, a klękając między nimi, rzekła:

— Nie martw się ojcze! nie martw się stryju! Ja na was będę pracować, a Bóg mnie wspomoże!

Głośne łkania położyły kres dalszej rozmowie.

Pan Stanisław powstał spokojny; on już bratu przebaczył... Wszak Ludwik miał złote serce, jeżeli więc błądził, to li przez lekkomyślność, która tkwiła w jego naturze. A czyż on winien, że z nią na świat przyszedł, i że później nikt jej z niego nie wykorzenił? A jak Bóg przez miłość świat odkupił, tak i człowiek przez dobre serce może odkupić winy swoje. Wszak wiara każe odpuszczać grzechy temu, kto żałuje. Szlachetny nie rzuci więc kamieniem na zbłąkanego, jeżeli ten ma dobre serce.

XXXVIII.

Przyzwyczajony do zmiennych losu kolei, pan Stanisław dowiedziawszy się w Warszawie od mecenasa, czego w najbliższej przyszłości powinien oczekiwać, zamiast oddać się zwątpieniu lub rozpaczy, zaczął raczej przemyśliwać nad środkami, mogącemi go ochronić od dalszych rozczarowań. Rada mecenasa, by coprędzej wyszukał sobie jaką posadę, wydała mu się bardzo dobrą, i tylko ta jedna trudność zachodziła, że nie sposobiąc się w życiu do żadnego zawodu i będąc tak z zamiłowania, jak z powołania li gospodarzem, mógł chyba starać się o posadę rządcy. U kogo jednak szukać miejsca? Czy zostać w Królestwie, czy gdzie indziej wyjechać? Oto pytanie, które go najbardziej trapiło. Mimo zasad postępowych był on w gruncie zawsze szlachcicem, to jest należał do ludzi, którzy wstydzą się służyć Chętnie byłby przystał na suchy kawałek chleba, byle niezawisły. Jeżeli zaś postanowił pójść w służbę, to czynił to li dla Wandzi, której przecie bez pomocy nie mógł zostawić.

Rozważywszy wszystko, poszedł od adwokata prosto do hrabiny K. i tej opowiedział całe położenie, prosząc o radę. Staruszka szczerze ubolewała nad losem kuzyna i nieskończenie była mu wdzięczną, że chcąc przyjąć obowiązek rządcy, zamierzał wyjechać z Królestwa. Hrabina strzegła z wielką pieczołowitością czystości klejnotu szlacheckiego, któremu według jej mniemania służba w wysokim stopniu ubliżała. Jakby jej więc przykro było, jeżliby jeden z jej krewnych i do tego Wybicki, potomek senatorów i wojewodów, wysługiwał się jakiemu dorobkiewiczowi! Skoro zatem Opatrzność tak zrządziła, to niech przynajmniej służy zdaleka od tych stron, gdzie Wybickich zna świat cały... Wprawdzie hrabina mogła była znaleźć drogę najlepszą, płacąc długi pana Ludwika, co jej, osobie bogatej i bezdzietnej, nie byłoby wielkiego uszczerbku zrobiło, lecz pan Stanisław ani pomyślał o tem, wiedząc, że kuzynka należała do najbardziej skąpych ludzi pod słońcem.

Gdy tak rozmawiali, hrabina nagle sobie przypomniała, że zna bardzo dobrze księżnę, mieszkającą we Lwowie, której mąż stał na czele Towarzystw, zajmujących się w Galicji budową dróg żelaznych. Jeżeli kto, to książę mógł by zatem dać odpowiednią posadę p. Stanisławowi, który władając dobrze kilkoma językami, oddawał by przy kolei dobre usługi. Uszczęśliwiona tą myślą, hrabina, napisała zaraz list polecający do księżnej, który kuzynowi wręczyła. Pan Stanisław wracając tedy do Pilawic, dobrze już wiedział, co w krótce uczyni.

Jak wielkie było zdziwienie Wandzi, gdy nazajutrz po rozmowie braci, którą przytoczyliśmy w rozdziale poprzedzającym, ojciec jej powiedział, że za dni kilka do Lwowa wyjadą. Z początku myślała, że ojciec domyślając się czegoś, chce sobie z niej zażartować, gdy jednak on drugi raz to powtórzył i do tego takim tonem, który z żartami nie miał nic wspólnego, Wandzia nie posiadała się z radości Być tam, gdzie mieszkał ten, który na niej tak wielkie zrobił wrażenie, o którym bez przerwy myślała i którego rada by każdej chwili zobaczyć, było koroną jej marzeń. Wobec takiego szczęścia, troska o jutro wydawała się drobnostką, czemś, nad czem nie chciała się nawet zastanawiać. Jeżeli zajdzie potrzeba, będzie pracować gorliwie, byle być tam, gdzie on jest teraz, i razem z nim jednem oddychać powietrzem!...

Pan Ludwik widząc przygotowania do podróży, dziwił się bardzo bratu, że przestraszywszy się bezpotrzebnie, z własnego domu uciekał. On już zapomniał, co się stało, to też jak dawniej pocieszał się powtarzając to głośno, to w duszy: jakoś to będzie! On był znowu najpewniejszy, że i długi pozapłaca i żydów, którzy mu słowa nie dotrzymali, rozumu nauczy. Napróżno brat zwracał jego uwagę na niemożność utrzymania się przy Pilawicach w warunkach teraźniejszych; napróżno radził mu, by i on o czemś dla siebie pomyślał, pan Ludwik widział wciąż przyszłość w barwach różowych. Nie mogąc jednak zwyciężyć brata argumentami rozumnemi, przemówił do niego w te słowa:

— Jeszcze raz powtarzam ci Stachu, że się nic nie stanie. Jestem lekkomyślnym, prawda, lecz ponieważ pan Bóg takim mnie stworzył, więc ten tego będzie się mną opiekował. Pan Bóg jest mądry, oho! bardzo mądry, on wie co robi. A dziećmi czyż się nie opiekuje? Jak babcię kocham, on dziećmi i lekkomyślnikami opiekuje się najszczerzej.

Filozofowanie pana Ludwika nie przekonało brata, który pamiętał, że religja mówi: pomagaj sobie a Bóg ci pomoże. On nie chciał czekać na bezpośrednią pomoc z nieba, wpierw bowiem mógł by mu się nad głową dach spalić. Postanowienie jego zatem było nieodwołalne. Zresztą i dla tego wyjazd przyspieszał, że jak najprędzej chciał być we Lwowie, aby łatwiej posadę otrzymać. Budowa kolei między Tar-

nowem a Lwowem dopiero się rozpoczęła, więc i o pomieszczenie było tam teraz łatwiej.

Gdy przyszedł dzień wyjazdu, pana Ludwika siły opuściły. Trzymał się jak długo chwila rozstania rysowała się na dalekim widnokręgu, jak coś nieuchwytnego, nie całkiem pewnego, co mogło uledz zmianie; lecz gdy przed werandę powozik zajechał, a za nim wóz z kuframi, które lżejsze dziś były o sześć tysięcy rubli, pan Ludwik nie mógł wstrzymać się od łez gorących.

— Boże! Boże! — mówił, zapominając o wszystkich swoich przysłowiach — czego to ja dożyłem! Rodzony brat mnie porzuca i ucieka z domu własnego. Nie, ja tego nie przeżyję, mnie muszą djabli porwać. Tak mnie z wami było dobrze, tak czułem się szczęśliwym, a teraz zostawiacie mnie znowu łazarzem...

— Uspokój się Ludwiku, uspokój — pan Stanisław pocieszał — jeżeli stosunki się poprawią, znowu wrócimy.

— Poprawią się, zobaczysz, że się poprawią... musi być dobrze! Jabym bez was nie wyżył. Tobie łatwiej, bo masz Wandzię, córkę, takiego anioła... Ale co ja tu pocznę, sam jeden, sierota!

I znowu rozpłakał się jak dziecko, co widząc p. Malinowska, która z kluczami stała w drzwiach prowadzących z werandy do przedpokoju, przyłożyła fartuszek do oczu szepcąc:

— O słodkie drzewo krzyża świętego!

Skończyły się nareszcie pożegnania, i nasi przyjaciele, niespełna w rok po przyjeździe do Pilawic, jechali znowu do Lwowa.

Zanim we Lwowie staną, musimy ich wyprzedzić i pospieszyć za Juljanem Rossowskim.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SZERMIERZ PIÓRA.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

(C. d.) Atkins wypatrzył się na niego z najwyższem zdziwieniem. I to była jedyna uwaga na jego tak ważne zwierzenie? Spodziewał się po prawdzie, wywołać niem wrażenie o wiele silniejsze.

— Zdajesz się zapominać, o ile z bliska ta sprawa pana dotyczy — mówił Atkins dalej z naciskiem. — Młody pan Forest żyje, to nie podpada wątpliwości, mamy również niepłonną nadzieję, że go teraz znaleźć potrafimy. Gdy to nastąpi, zabierze on połowę majątku, na który pan w całości liczyłeś i na pewno spodziewałeś się tegoż.

— Tak — zasyczał Alison przez zaciśnięte kurczowo zęby — oddałbym chętnie drugą tegoż połowę, gdyby była nigdy na ziemię francuską nie stąpiła!

Atkins porwał się z siedzenia. Czegoś podobnego nigdy się nie spodziewał! Jeżeli Alison potrafił zapomnieć zupełnie o kupieckiej rachunkowości, jeżeli mówi w ten sposób o stracie połowy miljonowego majątku, cała ta sprawa jest więcej jak drażliwą, stała się nader groźną i niebezpieczną. Uczuł potrzebę wdać się w nią na serjo, i starać się wszelkiemi siłami o jej załagodzenie, jak najrychlejsze.

Przystąpił więc szybko do młodego człowieka, a kładąc mu rękę na ramieniu rzekł przekonywająco:

— Zazdrość zaślepia pana. Jest między nimi jakaś tajemnica, to niewątpliwe; jest jednak rzeczą pewną, że Jenny nie uczuwa dla niego miłości. Czyż to uczucie obudza kiedykolwiek podobne przerażenie, jakiego doznała Jenny na jego widok? W ten sposób może się objawić wszystko inne, tylko nie miłość.

Alison spojrzał na niego zimno i pogardliwie.

— Trzeba przyznać, że nie masz pan wiele szczęścia do bystrych spostrzeżeń! Któż to mnie wyśmiewał w domu państwa Etienne, za moje „dziecinne przeczucia“, za upatrywanie niebezpieczeństwa ze strony „profesora w suchotach“, za stawanie w szranki „z nędznym skrybentem?“ Czy masz pan jeszcze zawsze tego człowieka, za tak śmiesznego i nic nie znaczącego, lub czy też wreszcie opadła łuska z pańskich oczu, i widzisz co ukrywało się pod tą niepozorną powierzchownością?

— Omyliłem się grubo, to prawda. Proszę jednak postawić każdego innego na mojem stanowisku, czy byłby go inaczej osądził? Latami całemi gra ten człowiek rolę, bojącego się ludzi samotnika, i niedbającego o cały świat uczonego, pogrążonego jedynie w obcieraniu z pleśni starodawnych rękopisów. Raptem wystrzelił z niego jak kwiat aloesu z łodygi chropowatej, natchniony poeta, ba! w końcu bohater, rycerz średniowieczny, bez bojaźni i bez zarzutu. Gdy szedł na wojnę, czyż nie mówili wszyscy że w pierwszym marszu w szpitalu zostanie, a jeżeli by przypadkiem huk armat usłyszał, to go pewno nie przeżyje. A on tymczasem bije się jak lew, ile już tygodni, i jak paradnie przytem wygląda! Potrafi nawet, co już do największych cudów zaliczam u takiego móla książkowego, płonąć miłością! nie do z żółkłych pargaminów, ale do pięknej kobiety jakby lepiej nie potrafił student ośmnastoletni! Kto kiedy dojdzie do końca z tymi Francuzami? kto ich zbada? kto ich pozna — tak ludzi pojedynczych jak i naród cały! Pańska uwaga może i słuszna co do rzeczy pospolitej. Gotowa wyciąć kuranta takiego Prusom i Europie że się świat zdumieje! Stanie jak kot na nogi, i będzie znowu jak dawniej, wielka, potężna, bogata Francya, tak jak Servigny jest dziś zdrowym, tęgim, bohaterskim mężczyzną. — Atkins mówił to wszystko dziwnym tonem; zmiarkował jednak w sam czas, że to nie jest sposób ułagodzenia Alisona, przestał więc nagle mówić o temacie tak drażliwym, i kończył uspakajająco. Zresztą jakkolwiek rzeczy stoją: Jenny będzie pańską żoną. Masz jej słowo dane dobrowolnie, a Foresty umieli zawsze słowa dotrzymywać. Nie wiem którędy ten Servigny jej drogi pokrzyżował, lecz to wiem na pewno, że słowa raz danego Jenny nie złamie.

— Będzie moją — odrzekł głucho Alison — w tem spuść się pan na mnie, czy z jej wolą czy bez niej, musi do mnie należeć nieodwołalnie choćby nawet — tu rysy przybrały wyraz dziki i ponury — choćby dwoje oczów ciemno błękitnych, romantycznych i głębokich... miało zamknąć się na zawsze.

Atkins odskoczył przerażony, nie śmiał więcej robić jakiejkolwiek uwagi. Zrobiło się zupełnie ciemno, ze wsi dały się słyszeć przeciągłe sygnały wieczorne na trąbie. Alison wstrząsł się cały, porwał kapelusz ze stołu i rzucił się ku drzwiom. Starzec podążył szybkim krokiem i przy drzwiach za rękę go schwycił.

— Dokąd? — zapytał.

— Odetchnąć świeżem powietrzem, do parku.

— O tej porze jest zupełnie ciemno.

— Nic nie szkodzi, muszę wyjść. Może — uśmiechnął się tajemniczo — może przyniosę sobie ztamtąd lepsze myśli. Dobranoc! — Gwałtownym ruchem wyrwał rękę Atkinsowi i wybiegł z pokoju. Atkins patrzał za nim z widocznym niepokojem.

— Może być z tego nieszczęście! Gdyby teraz mieli się spotkać! Głupstwo, cóż znowu! — strofował sam siebie. — Harry nie jest szaleńcem, żeby stawiał na kartę życie, honor i przyszłość całą, dla jakiejś zazdrości urojonej. Gdyby tak zeszedł się z Servignym w górach... bez świadków, za nic bym nie ręczył! ale tu! pomiędzy kolegami, którzy go ubóstwiają, gdzie odkrycie byłoby nieuniknionem a zemsta krwawą — nie, na to on się przecie nie odważy. — Drzwi otworzył podsłuchując co się dzieje w drugim pokoju na przeciwko, gdzie Joanna przebywała.

Zamknęła się ze środka, skoro weszła, i mnie powiedziała zdaleka, że już w łóżku, więc przyjąć mię nie może. Słyszałem potem jej szybkie kroki, przebiegające pokój w szersz i wzdłuż, ale nic nie pomoże, choćby próbować raz i drugi... dziś już ze mną mówić nie chce widocznie; a możeby jej pośrednictwo jeszcze rzecz całą pogorszyło. E! — tu zwykła zimna krew Amerykanina wzięła górę nad wszelkim niepokojem — postaram się, żebyśmy jutro do dnia ztąd wyruszyli i choćby nazad do miasteczka D* wrócić nam przyszło. Gdy raz straci z ócz Servignego, będziemy łatwiej mogli postarać się, by się więcej nie zeszli.

W ten sposób uspokoiwszy sam siebie, wrócił pan Atkins do pokoju.

W zamku na jednem skrzydle, w pomieszkaniu majora, paliła się lampa i widać było przy niej siedzącego pod oknem adjutanta i jeszcze jednego z oficerów. Reszta panów porozchodziła się widocznie, bo wielka sala na dole, z której wychodziło się na terasę, gdzie zwykle wieczorami zbierało się całe grono oficerów, była pustą zupełnie. Chwilowo znajdował się w niej jeden Jakób, zajęty rozpaleniem ognia w dużym marmurowym kominie. Wieczory były już bardzo chłodne tu w górach, a sala ogromna sklepiona nawet i wśród letnich upałów, takim zimnem do szpiku kości przenikała, że ogień był w niej zawsze gościem pożądanym.

Jakób brał się do tego z całą znajomością rzeczy, wyręczając stróża zamkowego, którego to było obowiązkiem, a który jak zwykle gdzieś się zapodział i nawet nie było komu usłużyć Amerykanom, a do tego jednego, Jakóbek nie byłby się nigdy dał użyć. Wreszcie powiodło się Jakóbowi rozpalić stos drzewa w kominie. Płomienie sięgały coraz wyżej jak węże ze złota i purpury, drzewo trzeszczało, wyrzucając iskry aż na płyty marmurowe przed kominkiem ułożone, cała sala ożywiła się i rozweseliła tym blaskiem fantastycznym, a łuna biła na terasę, tam jeszcze wierzchołki drzew oświetlając. Jakób siedział przed kominkiem wpatrując się z dziecinnym zadowoleniem w płomienie, a przytem myśląc głęboko. W tem dotknięto się z lekka jego ramienia, obrócił się szyko i zobaczył miss Forest przed sobą.

— Czy wrócił już pan Servigny?

— Tak! — odrzekł zdziwiony jej pytaniem — wrócił przed kwadransem.

— Proszę mu powiedzieć, że życzę sobie z nim mówić.

Jakób oczy na nią wytrzeszczył.

— Z moim panem?

— Pragnę mówić, zaraz! Powiedz mu, że go czekam w tej sali. Tylko prędko.

Skinęła ręką ku drzwiom rozkazująco i Jakób pędem wyleciał. Gdy już był za drzwiami, zastanowił się dopiero, że to przecie wcale nie wypada, żeby jemu, żołnierzowi, który szczęśliwie czy nieszczęśliwie lecz zawsze za kraj walczy i chce go bronić, jeszcze teraz taka dumna miss amerykanka rozkazów udzielała, że właściwie nie powinien był jej słuchać. Słusznie utrzymywał pan Atkins, że przeciw despotyzmowi Forestów nie ma ratunku, bo i nasz Jakóbek wprawdzie mrucząc i łając pod nosem, jednak nie wrócił nazad, lecz poszedł prosto do swego pana, wypełnić dane mu polecenie.

Joanna została sama. Lampa u sufitu zawieszona oświetlała bardzo skąpo wnętrze sali, samym środkiem biła czerwona łuna od kominka, a za to kąty sali tem ciemniej, jakby tajemniczo wyglądały. Księżyc jeszcze nie był zeszedł; w ogrodzie było zupełnie czarno, wiatr jesienny szumiał pomiędzy drzewami. Raptem otworzyło się źle zamknięte okno z wielkim hałasem, płomienie głośniej w kominie zasyczały, zimny prąd wiatru wpadł do sali, lampa u sufitu ruszyła się od niego, żywiej światłem zamigotała, a Joannę przeszedł dreszcz krew w żyłach ścinając. Zbliżyła się do kominka, i usiadła na dużem gotyckiem krześle.

Los jej miał się ostatecznie rozstrzygnąć. Wszelkie ciemności i niepewności, musiały ustać. Chwila najbliższa wszystko wyjaśni.

Gdy płomienie od czasu do czasu żywszym ogniem na pokój buchały, oświetlały jej postać sztywną a twarz tak śmiertelnie, bladą że zdawała się nie należeć już do żyjącej osoby. Jednak na tem martwem obliczu, w tych oczach nieruchomo w jeden punkt utkwionych, czytało się tylko: — Tak być musi, choćby serce pęknąć miało. Tem jednem słowem woli nieugiętej, nauczył Forest córkę łamać wszelkie zapory, zwyciężać walkę serca z rozumem choćby najcięższą. W głowie czuła

zamęt, piersi rozrywał ból srogi, a jednak musiała przejść, przecierpieć tę straszną chwilę, gotowała się też na nią z rezygnacją i spokojem umierającej. Straszliwie teraz ojca przypomniała, każdym rysem twarzy, każdym ust zagięciem, i temi oczyma, przed których spojrzeniem przenikającem, płomienistem, każdy choćby najśmielszy, struchlał, i jak Atkins utrzymywał, szukał klamki jak najprędzej. W tej stanowczej chwili nie miała w sobie nic kobiecego; ani śladu miękości, wahania, niepokoju. Nieugjęta, na wszystko zrezygnowana — i taką będzie! bo prawdy dójść musi, musi nieodwołalnie.

Drzwi otworzyły się cicho — wszedł oczekiwany, drzwi przymknął, lecz został na progu.

— Pani rozkazałaś?

— Prosiłam pana o chwilkę rozmowy, lecz czy tu nikt nam nie przeszkodzi. — Myślę, że przynajmniej nie na pół godziny. To racz pan bliżej przystąpić.

Zbliżył się krokiem i stanął z drugiej strony kominka.

— Nie byłem wcale przygotowany na podobne wezwanie. Po spotkaniu się naszem we wsi, zdawało mi się, że pani nie życzy sobie żadnego zbliżenia ku sobie. Zastosowałem się do tego.

W słowach tych brzmiała pewna gorycz, a jednak Servigny nigdy nią nie ranił, nie obrażał, przeciwnie odczuwało się jego ból własny. I teraz serce Joanny ścisnęło się tą cichą skargą, która z tych słów wiała.

Moje postępowanie musiało się panu wydać nader zagadkowem, winnam wytłumaczyć się z niego, wprzódy jednak pozwoli pan zadać sobie kilka pytań. — Skłonił się w milczeniu. — Najprzód jak panu na imię?... Servigny na to pytanie był jak najmniej przygotowanym.

— Moje imię chcesz pani wiedzieć?

— Tak...

— Na imię mi Ludwik.

— Ludwik! — Joanna całą piersią odetchnęła — nie wiedziałam o tem.

— Zkądże miałabyś je pani znać? — pytał z zdziwieniem coraz większem. — Byliśmy sobie tak obcy, nieznani, póki nie wstąpiłaś na ziemię francuską.

— Może! — wymówiła półgłosem wpatrując się ponuro w ogień. — A może i nie, opowiadałeś mi pan, żeś był zupełnie sierotą, potem dostałeś się w szpony uczonego, który prowadził cię w tym samym kierunku, zmuszając niejako do nauk ścisłych wyłącznie. Czy był ten uczony księdzem równocześnie?

— Tak. Później atoli opuścił parafię, zrzekł się nawet pensji, byle mógł oddawać się wyłącznie pracom naukowym.

— Nazwisko jego? — Joanna przycisnęła ręce kurczowo do piersi.

— Proboszcz Dubais.

Milczenie grobowe zapanowało.

— Miss Forest co to wszystko znaczy? Te dziwne pytania? Czy znałaś mego opiekuna?

Przystąpił do niej całkiem blisko, przy tych słowach ostatnich. Joanna zdawała się jeszcze nic nie słyszeć; pozostała nieruchomą.

— Joanno!

Zadrżała. To imię raz dopiero wyszło z ust jego w chwili pożegnania, a brzmiało tak słodko w jej sercu, jak melodja najcudniejsza! Matka niegdyś tak ją nazywała, niedługo jednak, niedługo! później imię nawet... nieubłagana wola ojca na amerykańską modę przerobiła. Jenny ją odtąd nazywano. Od śmierci matki nikt jej już tak nie powiedział. A teraz słyszy to imię wymówione tak słodko, tonem tak miękim, błagającym, ten dźwięk czarowny, resztę sił jej odebrał!

Powoli jakby w śnie magnetycznym podniosła oczy... i utonęła w jego źrenicach. Te cudowne, ciemno niebieskie oczy, patrzące na nią z taką rzewną czułością, nie straciły uroku tajemniczego, jakim czuła się owianą od pierwszej chwili gdy spotkała się z niemi. I ta dumna kobieta, której zdawało się że jedynie do czynów stworzona, teraz gdy szło o rzecz tak ważną, o rozwiązanie tajemnicy, uczuła się zupełnie bezsilną, zapomniała że trzeba działać, bo czas nagli!... Zdawało jej się że jest tam! pod żywopłotem z bzu... on tuż przy niej, w koło nich wiszary grubej mgły, kryją ich dwoje wraz z całą przyrodą... ziemia spragniona chłonie wiosenny deszczyk... pierwsze pączki zielone pękają w powietrzu, dziwne szepty i cudne zapachy, a w dali szum tajemniczy fal rzeki rodzinnej, niewidzianej, a jednak takim smędkiem ten szum już duszę jej napełnił. Marzyciel wciągnął ją w koło zaczarowane snów własnych, zapatrzona w jego oczy zapomniała, że jest świat zimny.

Nagle wstrząśli się oboje przerażeni czemś nieznanem, nieskreślonem. Znikła „Fata morgana“ którą snuli w duszy, rozwiała się jak owa mgła, z całą swoją czarującą ułudą. Ujrzeli się znowu w sali ponurej przy kominku. Wiatr dął w ogrodzie coraz silniej; może to on uderzył gałęzią w okno i zbudził ich niemiłosiernie ze snu czarownego...

Joanna pierwsza ku oknu spojrzała, oczy Ludwika podążyły machinalnie w tym samym kierunku.

— Szpiegują nas... wyszeptała.

— Niepodobna! Zobaczę zresztą! — Poszedł do okna, na oścież je roztworzył i wyjrzał, lecz nikogo nie obaczył. Joanna powstała opierając się ciężko o wysoką poręcz krzesła rzeźbionego. Teraz nadeszła chwila najstraszniejsza! musi dowiedzieć się — i on... co dla niej przestało być tajemnicą!

Ludwik zamknął okno i wrócił napowrót.

— Nie ma nikogo — rzekł spokojnie. — Któżby zresztą miał w tem interes, by nas podpatrywał.

Joanna wiedziała już jaką drogą dążyć do celu, wstąpiła też na nią bez wahania.

— Kto? Pan Alison.

Ludwik cofnął się o krok, wzrok w nią wlepiając.

— Pan Alison? Ziomek pani?

— Nie inaczej...

Ciemny rumieniec okrył mu całą twarz.

— Więc on ci nie jest całkiem obcym? Przeczułem to od pierwszej chwili Joanno!... — głos jego drżał — powiedz, w jakim stosunku z nim zostajesz?

— Jestem jego narzeczoną!

Krew jak prędko uderzyła, tak jeszcze prędzej z twarzy Ludwika uciekła, zachwiał się i zbladł śmiertelnie.

— Jego narzeczoną! — rzekł głucho. — Kochasz go pani?...

— Nie! nie!

— A jednak dałaś słowo, powierzasz mu przyszłość twoją!

Gorzka wymówka brzmiała w tych słowach, Joanna uczuła całą ich prawdę i oczy w dół spuściła.

— Dałam — cicho odrzekła.

Kiedy tak, czemóż Bóg w niełasce swojej sprowadził nas razem!

Joanna milczała.

— Dlaczego? — wyszeptała.

Przystąpił do niej jeszcze bliżej a głos zniżył tak, że ledwie słyszeć go można było, jednak wrzała w tym szepcie namiętność największa.

— Pytasz jeszcze! Czyż ci trzeba koniecznie słów gdy już dawno odgadłaś, musiałaś się domyśleć.

Joanna podniosła znowu zwolna wzrok na niego.

— Przecież nie potrzebujemy dla tego — nawet nie powinniśmy czuć się nieszczęśliwymi. Chociaż los może okrutnie postąpił z nami, odmawiając nam najwyższej rozkoszy, jednak gdy nas już razem sprowadził, nie chce on nas wcale rozłączyć. Może! — wzrok jej tonął coraz głębiej i głębiej w jego źrenicach — może namówię mego męża przyszłego na dłuższy pobyt nad Loarą. Potrzeba tylko jednego słowa z ust moich, ażeby został twoim przyjacielem i pierwszy dłoń ci podał do zgody. Nie odtrącisz tej dłoni Ludwiku.

— Joanno! — przerwał jej dziko, namiętnie... Umilkła, oka jednak nie spuszczając. W jej oczach był wyraz trwogi.

— I ty mi to mówisz! — a w głosie jego była gorycz i boleść bezmierna! — Z twoich ust to muszę słyszeć coś podobnego? Czy znowu temi słowami chcesz drażnić i wyśmiewać marzyciela, poetę, czy też śnisz sama o podobnym, idealnym stosunku braterskim, w którym miłość prawdziwa, nazywa się zbrodnią! O!... nie oszukuj sama siebie! — Duchy bezcielesne idą tą drogą, ludzie mogą tylko znaleźć śmierć lub występek. Był czas gdzie i ja oddawałem się mrzonkom równie chorobliwym, zamknięty w mojej pracowni. Miłość ztamtąd mnię wyrwała, a gdy raz mnię pchnęła na nowe tory, gdy raz pojąłem życie w rzeczywistości ze wszystkiemi jego wymogami, czuję dobrze, że musisz do mnie wyłącznie należeć, lub rozłączymy się na wieki...

Słowa jego płynęły jak lawa! bo też w łonie wrzał ogień namiętny, nie dający się już niczem powstrzymać. Ostatnia deska ratunku, której trzymała się Joanna, uszła z pod jej nóg. Wszystko skończyło się dla nich... nieszczęście jest bez granic, ale przynajmniej miłość jej nie jest osamotnioną — kocha całem sercem, lecz jest również przez niego kochaną.

To przekonanie taką radością ją przejęło, że o swym stanie rozpaczliwym zapomniała. Czy jego słowa nie były niemem echem jej serca. Całą piersią odetchnęła.

— Masz słuszność Ludwiku, widzę teraz sama, że takie uczucie byłoby zdradą! — Między nami nie może być mowy o czem innem, tylko o rozłączeniu... na zawsze!...

Zadrżał jak pod uderzeniem sztyletu.

— Joanno! czy możesz wygłaszać tak okrutny wyrok; tak zimno, tak nieubłaganie? Myślisz że i ja tak łatwo zgodzę się na niego nie próbując walczyć z niepodobieństwem? Jeszcze cię nie wiąże świętość przysięgi, stosunek narzeczonych zerwać można, słowo dane odebrać napowrót — czyż twoje przyrzeczenie jest nieodwołalne?

— Nie inaczej.

Zastanów się Joanno! — w głosie jego była prożba taka rzewna! taka gorąca! — Nie idzie tu tylko o szczęście mego życia całego, lecz również i o twoje, które chcesz zniszczyć na zawsze.

W tej chwili otworzono drzwi z łoskotem i dał się słyszeć głos Jakóba. — Panie poruczniku! pan major prosi do siebie koniecznie zaraz. — Ludwik odwrócił się do niego prawie bezprzytomnie.

— Co się stało? Gdzie mam iść?

— Do pana majora, cały korpus oficerów zgromadził się u niego.

— Dobrze! idę.

Drzwi zamknęły się i słychać było oddalające się kroki Jakóba.

— Słyszałaś! muszę odejść! czasy wojenne! nie jesteśmy pewni jednej chwili! Joanno! pytam cię po raz ostatni, czy możesz i czy chcesz być moją?...

— Nie Ludwiku! Żoną twoją być nie mogę nigdy! przenigdy!

— Więc żegnaj mię na wieki! — krzyknął Servigny głosem rozdzierającym i chciał ją przycisnąć do piersi, która pękała od boleści, lecz Joanna się wyrwała gwałtem, wyciągając naprzód ramiona, jakby chciała jakie widmo odtrącić od siebie. Wreszcie Ludwik ręce opuścił, a skłoniwszy się zimno i sztywnie, wyrzekł głosem złamanym.

— Masz słuszność miss Forest. Żegnam Panią — i odszedł.

Joanna została sama, z tą skałą gniotącą jej serce, z tą straszną tajemnicą! Jeszcze zasłony nie podniosła, ostatniego słowa nie wymówiła. Miała je ciągle na ustach, a jednak jakaś siła niewidoma nie pozwalała go wygłosić. Tą siłą, była bojaźń, żeby nie zadać mu jeszcze większej boleści, gdy dowie się o właściwej, nieubłaganej konieczności, która łącząc ich z jednej, rozłącza ich tak niemiłosiernie z drugiej strony. Ona, która nigdy, nikogo nie oszczędzała, gdyż była przyzwyczajoną nie oszczędzać samej siebie, drżała teraz na myśl o jego bolu! Pierwszy raz w jej życiu, słowo „tak być musi“, które ojciec nauczył ją cenić przedewszystkiem, straciło swoją przewagę; pierwszy raz „nie mogła“ zrobić tego, co jej rozum nakazywał. Sama, stawiła mężnie czoło walkom i męczarniom piekielnym, jednak gdy szło o to, żeby on to wszystko przecierpiał przez nią i w jej oczach, obudziła się w niej kobieta, pełna trwogi, czułości, wahania. Cofała się przed słowem ostatniem, rozstrzygającem, z niezwykłem u niej tchórzostwem — bo to miał być cios jemu zadany.

— Jutro! Do jutra oswoi się trochę z tą myślą, że do niego nie mogę należeć. Gdy powiem mu ostatecznie „dlaczego“, łacniej znieść to potrafi! Dziś! ta straszna tajemnica, byłaby go mogła zabić na miejscu! A jednak! — tu biedna Joanna wybuchła rzewnym płaczem — gdyby był przyjął tę wiadomość zimno, obojętnie! ja bym tego także nie była przeżyła! (C. d. n.)

Z ŻYCIA STUDENTÓW.

I.

Szczęśliwe to były lata — mówił raz do mnie p. Maciej — te lata studenckie, które po roku 1831 spędziliśmy w szkołach przemyskich. Jak po każdem większem wstrząśnieniu, tak i wtedy umysły nasze gnuśnie odpoczywały, nie wysilając się nad rozwiązywaniem zagadnień poważniejszych, mogących cały kraj obchodzić. Nie było to zupełne zniechęcenie, jak naprzykład w chwili obecnej, ale polska lekkomyślność w całem znaczeniu tego wyrazu, która nie pozwala ubolewać nad nieszczęściami przebytemi ani dopuszcza troski o jutro. Jakoś to będzie! oto hasło, pod którem żyliśmy w owych czasach.

Młodzież wychowana opowiadaniami ojców i dziadów, którzy tradycje wieku XVIII. żywo przechowali w pamięci żyła hulaszczo, nie żałując niczego, nie bojąc się nikogo, ani myśląc o tem co jutro przyniesie.

W całej Galicji, gimnazjum przemyskie było bez zaprzeczenia najliczniejsze i najgłośniejsze. Nigdzie filozofowie nie nosili większych wąsów i grubszych lasek, nigdzie żydzi nie byli dla panów studentów z większym szacunkiem; nigdzie nie wypijano więcej wina i miodu; nigdzie studenci nie mieli więcej długów i nigdzie pan Kreishauptman nie był w większym strachu, jak właśnie w Przemyślu.

Rozpędzić całą dzielnicę żydów i wybić okien tysiące, jeżeli jaki żyd obraził lub skrzywdził w czemkolwiek którego ze studentów; obić landsdragonów, a panu staroście wyprawić kocią muzykę, jeżeli jaki student został oddany do wojska; nareszcie połapać panów profesorów w wilcze doły i udawać że stało się to przypadkiem, oto drobnostki powtarzające się codzień prawie. Co do owych wilczych dołów, to jednej nocy złapaliśmy w rzeczy samej nie mniej jak pięciu profesorów. Zwyczajem było wówczas, że profesorowie wybierali się późną nocą na lustrację tych domów, gdzie studenci stali „na stancji“. Pewnego poranku, jeden z naszych kolegów dowiedział się przypadkiem, że wieczorem tego samego dnia, profesorowie rozbiegną się po przedmieściach, ale nie wejdą do mieszkań jak według zwyczaju, lecz przez okna będą zaglądali, czy studenci przypadkiem nie piją, lub w karty nie grają. Aby gości nieproszonych przyjąć odpowiednio, za poradą kolegi Hilarego, który był naszą wyrocznią, wykopaliśmy pod każdem oknem dół na sążeń głęboko, dzięki czemu między godziną dziewiątą a dziesiątą wieczór, pod pięciu mieszkaniami, mieliśmy pięciu jeńców w wilczych dołach. W jednem miejscu obito nawet profesora pod pozorem, że to złodziej chciał się zakraść przez okno do domu... Być może że takie żarty nie należą do przyzwoitych, ale czy przyzwoitym był ówczesny system szpiegostwa, wprowadzony do systemu wychowania młodzieży.

II.

Za mojej bytności na filozofji w Przemyślu, całą młodzieżą trząsł p. Hilary.

P. Hilary był dopiero na pierwszym roku filozofji, ale za to miał już lat dwadzieścia siedm, sześć stóp wysokości, wąsy jak miotły, i nietylko w mieście, lecz na pięć mil w około uchodził za największego „siłacza“. Na wiosnę nosił laskę grubą jak ręka i tę nazywał „letnią“ a gdy pierwszy śnieg upadł, brał natychmiast laskę inną, niesłychanie sękatą a grubą jak noga, którą nazywał „zimową“. Gdy szedł przez miasto, z głębokim uszanowaniem ustępywali mu się z drogi nietylko żydzi, lecz także „landsdragoni“ a ilekroć podczas wykładów chrząknął w sali, profesor języka niemieckiego, mały garbaty Niemczyk, podskakiwał zawsze na krześle z okrzykiem „O Herr Gott!“, co w najwyższym stopniu rozweselało wszystkich filozofów.

Studenci kochali i wielbili Hilcia, albowiem pod jego przewodnictwem udawały się wszystkie wyprawy. Świat miał niegdyś Napoleona — Przemyśl miał swego Hilarego.

Długo panował Hilcio w Przemyślu, pijąc za dziesięciu, grając najlepiej w labeta, kurząc tytoń najmocniejszy i hojnie rozdając guzy nieprzyjaciołom wesołej młodzieży, ale snać w księdze przeznaczenia nie było napisane, aby znakomity ten młodzieniec, ukończył drugi rok filozofji.

Hilcio był biednym jak syn Hioba i gdyby nie brat starszy, dzierżawca, który od czasu zasilał go dość hojnemi datkami, król studentów byłby musiał bądź żyć z łaski kolegów, bądź szkoły porzucić i wstąpić do rzemiosła, bądź nareszcie z głodu umrzeć. O tem, by na przypadek śmierci, albo pogorszenia się stosunków brata, Hilcio mógł utrzymać się z lekcyj, nawet mowy nie było, albowiem jeżeli co, to właśnie nauka była najsłabszą jego stroną.

Hilcio żył więc dosyć dobrze i ciągle królował, dopóki pewnego wieczora nie ulotnił się jak kamfora.

III.

Nikt sobie nie wyobrazi, jakie przerażenie zapanowało między młodzieżą, gdy najbliżsi przyjaciele pana Hilarego oznajmili innym kolegom, że ideał studentów zginął bez wieści.

W smutnym tym dniu wszystkie klasy były puste i profesorowie napróżno uczniów wyglądali: studenci na znak żałoby poszli do Moszka na gęś i miód, aby pospołu zastanowić się nad zdarzeniem, którego nikt się nie spodziewał ani rozumiał.

— Co się z nim stać mogło? — z różnych stron pytano.

— Bóg to wie jeden! może się utopił, a może do wojska wstąpił.

— Furda! — krzyknął któryś ze starszych — on za mądry i za uczciwy ażeby się topił bez powodu.

— On zanadto Niemców nie cierpi — dodał drugi — ażeby dobrowolnie wstępował do wojska.

— Ja wam coś powiem pod sekretem — wtrącił trzeci — robiąc minę arcytajemniczą i palec do ust przykładając na znak, że już z góry chce sobie zapewnić dochowanie tajemnicy.

— Cóż takiego?

Zapytany przysuwał się kolejno do kolegów i każdemu coś szeptał do ucha. Jedni głośnym parsknęli śmiechem, drudzy zamyślili się głęboko.

— Bardzo być może — zauważył jeden z najmłodszych — Rojzy nie widziałem od wczoraj rana.

— Więc i ty za nią chodzisz.

— Chodzę, nie chodzę, ale ponieważ mieszkam niedaleko domu jej rodziców, więc rzecz naturalna, że ją często muszę spotykać. Hilcio bywał tam bardzo często, dziewczyna miała się do niego, łatwo więc być może...

— Dajcie pokój tym głupstwom! — zauważył głos nowy — i nie ubliżajcie ani jemu, ani jej. Rojza poszła przedwczoraj za mąż za rudego Herszka z Jarosławia, a kochany nasz Hilcio wyniósł się przed długami.

— Aha! — zawołali wszyscy i na tem skończyła się rozmowa.

Kolega, który wziął Rojzę w obronę, powiedział prawdę najświętszą. Brat pana Hilarego zbankrutował na dzierżawie, skutkiem czego król studentów został bez zasiłków pieniężnych. Zanadto dumny, aby kolegów prosić o pomoc, nasz bohater wolał szukać pomocy u lichwiarzy, którzy na olbrzymi procent chętnie mu pożyczali, gdy jednak minęły pierwsze trzy miesiące, a pan Hilary ani należytości nie zwrócił, ani odsetków nie popłacił, runął odrazu kredyt na kruchych nogach zbudowany, zaczęły się prześladowania ze strony żydów, poczem drogą wszelkich znikomości światowych poszły surduty, kamizelki, w końcu czapki i buty. Po wyczerpaniu tych ostatnich zapasów, biedny Hilcio ulotnił się z Przemyśla, nie powiedziawszy nikomu dokąd się udaje. Dumny król nie mógł przyznać się przed poddanymi, że do ucieczki zmuszają go ci sami żydzi, którzy przedtem drżeli na jego widok.

Ale gdzie też wyjechał pan Hilary?

Nad rozwiązaniem tej zagadki myśleli najwięcej właśnie ci żydzi, którzy mu pieniędzy pożyczali; po kilku zaś tygodniach, nie otrzymawszy żadnych wiadomości o zbiegu, postanowili wysłać kogoś umyślnie w okolicę, dla zasięgnięcia języka.

W owych czasach nie było jeszcze ani telegrafów, ani kolei żelaznych, to też uciekający przed długami był pewny, że skoro pięć lub sześć mil ujedzie, wieść o nim na długie lata zaginie. Wiedząc o tem, lichwiarze zawołali Icka, bardzo sprytnego faktora, który mimo lat dwudziestu umiał załatwiać wszelkie interesa, a dawszy mu na drogę trzy srebrne cwancygiery, kazali szukać pana Hilarego.

Icek wyszedłszy za rogatkę, wyciągnął nos jak wyżeł.

IV.

O kilka mil od Przemyśla znajduje się miasteczko N., w którem pan mandatarjusz K., pełnił w owych czasach najwyższe obowiązki polityczne, sądowe i policyjne. Pan mandatarjusz był potężnym jak pasza, albowiem czternaście wiosek należało do jego „dominium“. W kancelarji pana mandatarjusza pisało ośmiu aktuarjuszów, w czterech więzieniach siedziało trzydziestu obwinionych, a dwunastu „policajów“ stało z kijami przy tyluż ławkach, na których doraźnie wymierzano najwyższą sprawiedliwość.

W pierwszym pokoju, którego atmosfera była przepełniona dymem, buchającym z czterech długich cybuchów, siedziało czterech młodych ludzi. Jednym z nich był p. Hilary. Zbankrutowawszy w Przemyślu, biedny Hilcio oparł się aż w N. u pana mandatarjusza, który niesłychanie był uszczęśliwiony, że filozofa dostał do swojej kancelarji.

Właśnie nasz przyjaciel wypalił szóstą fajkę i zreferował szósty Bericht, gdy w oknie, przed którem siedział, coś nagle mignęło. Hilcio podnosi głowę, patrzy i własnym oczom nie wierzy. Na dworze koło furty, prowadzącej do ogrodu przed domem, stoi Icek, powszechnie znany faktor z Przemyśla. Postrzegłszy, że pan Hilary głowę podniósł i w niego się wpatrzył, Icek mrugnął okiem, uśmiechnął się z zadowoleniem i skłonił uprzejmie, zdejmując czapkę do kolan. On już tak długo szukał zbiega, a znalazłszy go nareszcie w N. przeszło dwie godziny stał pod oknem, prosząc Boga gorąco, aby pan Hilary podniół przecie głowę i raczył go zobaczyć.

Pan Hilary zobaczył go nareszcie, ale na ukłon nie odpowiedział ukłonem. Najpierw zbladł, potem zgrzytnął zębami, wreszcie usiadł przy stole i głowę wsparł na dłoni wiedząc, że żyd nie odważy się wejść do kancelarji, myślał długo jak wybrnąć z kłopotliwego położenia, a gdy nakoniec ułożył plan cały, zbliżył się do jednego ze swoich kolegów, pana Wawrzyńca, a wziąwszy go pod ramię, poszedł do drugiego pokoju, gdzie dość długo z nim rozmawiał. Pan mandatarjusz był tego dnia na imieninach, o trzy mile od N.

Po konferencji Hilary usiadł na dawnem miejscu, a p. Wawrzyniec kazał policajowi, który stał przy drzwiach, sprowadzić natychmiast Icka do kancelarji.

Wielkie było przerażenie Icka, gdy wąsaty policjant wezwał go sucho a węzłowato, żeby niezwłocznie szedł za nim do kancelarji. Biedny żydek zawahał się i już chciał umknąć, ale policjant w czas go za kark przytrzymał i przymusowo do biura odstawił.

Pan Wawrzyniec przybrawszy minę arcyurzędową, zaczął z Icka ciągnąć protokół, wypytując go o miejsce urodzenia, wiek, zajęcie i miejsce teraźniejszego pobytu. Icek chciał najpierw wmówić w p. Wawrzyńca, że pochodzi z N., ale przekonawszy się zbyt prędko, że p. Wawrzyniec zna w N. najmniejszego nawet żydka, uznał nareszcie za rzecz niezbędną, przyznać się do istotnego swego nazwiska! Na kilkakrotne zapytanie, po co przyszedł z Przemyśla, nie dał jednak żadnej odpowiedzi.

Podczas tej indagacji, która dosyć długo trwała, Icek zbliżał się ciągle do stolika, przy którym siedział pan

Hilary, pragnąc znaleźć u niego pomoc i obronę. Hilcio siedział atoli nieporuszony jak mumja i obojętnie patrzał przez okno.

Skończywszy protokół, p. Wawrzyniec napisał coś na kartce, a potem przywołał z sieni policjanta i oddając mu Icka rzekł:

— Ten żyd pójdzie do Przemyśla ciupasem, als passloses Individuum.

Icek chciał protestować, opierać się, może byłby się nawet rzucił do nóg Hilaremu i prosił go o przebaczenie, ale nie ubłagana sprawiedliwość wezwawszy do pomocy rękę policjanta, wyrzuciła go do sieni, gdzie niezwłocznie rozpoczęła się smutna operacja. (C. d. n.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Z Paryża. Zgadnij też słów tych czytelniku, czem zajmuje się teraz modny świat paryski?

Oto wynajdowaniem różnego rodzaju... lasek, które mają dziś takie same znaczenie dla mężczyzn, jak wachlarze dla kobiet!

Laski te stosownie do użytku są większe lub mniejsze, innych używają na wizyty, innych na wieś, innych na miasto lub do teatru.

Powtarzamy „do teatru“ — gdyż moda, ta wszechwładna kapryśnica, nakazuje brać je ze sobą nawet do tego przybytku sztuki, *nb.* zakończone potężną lornetą.

Laski niektórych modnisiów paryzkich dochodzą do wielkości kijów pielgrzymich!

Śliczna moda... niema co mówić.

Żebyż choć aparata te były tańsze! Dzisiejsza jednak ich cena, kilkadziesiąt franków za sztukę, jest trochę przesadzona, chociaż paryżanie mają czem płacić i mają na to, jak nas przekonywa raut dany przez znanego przemysłowca pana M., gdzie sama zastawa stołu kosztowała tysiące franków.

Szklanki były tu po 25 fr. sztuka, z najczystszego kryształu, a było ich cztery, przy każdem nakryciu.

Karafki po 75 fr. i kieliszki do szampana, złote ze srebrem, przepysznie cyzelowane po tysiąc fr. każdy, a że osób było 24, zatem same kieliszki wynosiły 24,000 franków.

Dodać do tego należy toaletę pani domu, za którą Feliks kazał sobie zapłacić 60.000 fr.

Paryż więc płacić może...

Inną też cnotę przyznać należy zaczarowanemu miastu temu.

Zastanawia się ono mianowicie nad rzeczami... z pozoru błachemi. Wydano właśnie książkę „O grafologji“, której autor dowodzi jak na dłoni, iż z jednego listu lub podpisu można doznać usposobienie człowieka.

I tak twierdzi on, iż pismo pochyłe zapowiada charakter melancholiczny, fatalistyczny, gdy przeciwnie pismo idące w górę, życie pełne rozkoszy, szczęścia, sławy i powodzenia. A na poparcie tego twierdzenia przywodzi autografy Napoleona I., Marji Antoniny i Byrona...

Z Wiednia. Podczas przyjęcia deputacyj adresowych z powodu srebrnego wesela, wielu delegatów nie potrafiło się... wygadać.

Słynnym prawie został jakiś delegat, który zatytułował Najjaśniejszego Pana „*Kaiserliche Excellenz.*“

Niemniej dorobił się rozgłosu pewien poseł, winszujący Cesarzowi „z powodu nadejścia naszego srebrnego wesela.“

W niemałym ambarasie znalazł się też wysłannik podobno z Krainy. Utknąwszy na wyrazie „*Hoheit*“, ani rusz nie mógł popłynąć dalej.

Wybawił go z fatalnego położenia Najjaśniejszy Pan temi słowy:

— Wiem że mi pan jak najlepiej życzysz, podaj więc rękę i wszystko skończone!

Ranne wstawanie. Wbrew przysłowiom rozmaitych narodów, zalecającym ranne wstawanie, jako środek bardzo zbawienny dla zdrowia, jest ono, podług zdania jednego lekarza niemieckiego, zupełnie niehygienicznem.

Lekarz ów bowiem na podstawie ścisłych danych utrzymuje, iż pomiędzy osobami, które żyły długo, znaczna część wstawała późno, kładąc się spać również późno.

Utrzymuje on dalej, iż na każde dziesięć osób, dochodzących do 80 roku życia, najmniej ośm miało zwyczaj kłaść się o 1-ej lub 2-ej po północy.

Tenże lekarz sądzi, iż godziny ranne nie wzmacniają ani ciała ani umysłu, przeciwnie nużą, a powietrze poranne jest dla niektórych kompleksyj niebezpiecznem.

Komu wierzyć?

Historja perły. Będzie temu rok, jak ubogo ubrany człowiek wszedł do pewnego jubilera wiedeńskiego, przynosząc do oceny mały czarny przedmiot.

Jubiler po ścisłem obejrzeniu oświadczył, iż to jest „czarna perła“, rzecz niezmiernie rzadka i dlatego wysokiej bardzo wartości.

Na zapytanie właściciela, czyby jej nie kupił, oświadczył jubiler, iż on tego uczynić nie może i wskazał mu jubilera nadwornego, który klejnot ten będzie mógł nabyć.

Nazajutrz właściciel perły udał się do nadwornego jubilera, który gdy mu perłę przedstawiono, nie robiąc żadnych ceremonij, przywołał policjanta i kazał gościa aresztować.

Przy przesłuchaniu zeznał aresztowany, iż się nazywa Izak Roth i trudni się w Grosswardein pożyczaniem na fanty; co się zaś tyczy perły, to takową otrzymał on od pewnego wieśniaka, za którego zapłacił dwadzieścia guldenów, należne skarbowi za podatek. Dalsze śledztwo potwierdziło to tłumaczenie.

Wyszukano owego wieśniaka, który ze swej strony zeznał, iż służył u hrabiego Batthyany i że tenże, na krótko przed śmiercią, nagradzając jego wierne usługi, podarował mu złotą szpilkę, w której była oprawiona owa perła.

Gdy później przyparła go potrzeba, pozostawiwszy sobie perlę o której mniemał, iż jest bez wartości, szpilkę sprzedał.

Perła ta była jedną z trzech skradzionych, z korony angielskiej, przed stupięćdziesięciu laty.

Rząd angielski dowiedziawszy się obecnie o odnalezieniu perły, takową od Izaka Rotha za 20.000 guldenów odkupił.

Jakim sposobem dostała się ona w posiadanie hrabiego Batthyany'ego niewiadomo; to tylko pewna iż nie znał on sam jej wysokiej wartości,

Izak Roth zrobił więc świetny interes.

NA IMIENINACH.

— Józiu, weź te cukierki do kieszonki.

— Nie mogę — odpowiada z płaczem malec.

— Dla czego?

— Bo już mam pełne kieszenie.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.